

KLUCZ BLACKTHORNA

Christopher Rowe jest uczniem w aptece Benedicta Blackthorna. Uczy się tworzyć tajemnicze mikstury i czyta opasłe księgi. Idyllę przerywa seria morderstw londyńskich aptekarzy. Christopher musi znaleźć rozwiązanie zagadki zanim... sam stanie się ofiarą. Czy uda mu się zrobić użytek ze swoich talentów i uchronić świat przed niebezpieczeństwem?

Pierwsze spotkanie z mistrzem Benedictem wcale mnie nie uspokoiło. Kiedy wybrał mnie na tyłach Wielkiej Hali Gildii Aptekarzy z grupki chłopców, zastanawiałem się, czy nie przyciągnąłem najgorszego mistrza ze wszystkich. Jego twarz nie była nieżyczliwa, a do tego był absurdalnie wysoki. To, jak górował nad jedenastoletnim chłopcem, sprawiało, że miałem wrażenie, jakbym spotkał mówiącą brzozę. Gdy podążałem za mistrzem Benedictem do mojego nowego domu, w głowie miałem opowieści chłopców z sierocińca. Brałem je do serca. Całe życie nie pragnąłem niczego bardziej niż opuścić sierociniec. Teraz, gdy to marzenie się spełniało, bałem się bardziej niż kiedykolwiek.

Mój nowy dom.

Skwar południowego słońca był nieznośny, a sterty gnoju zatykające odpływy ścieków wydzielaly najgorszy fetor, jaki Londyn czuł od lat. Niezbyt zwracałem na to uwagę, pogrążony w myślach. Mistrz Benedict, najwyraźniej zagubiony w swoim świecie, ledwo zwracał uwagę na cokolwiek. Co najmniej półtorej kwarty moczu wylanego z nocnika przez okno na drugim piętrze rozbrzyzło się kilka cali od jego stóp, a on nawet się nie wzdygnął.

O mało nie przejechała go dorożka, choć okute żelazem koła stukaly po bruku, a konie były tak blisko, że czułem ich zapach. Mistrz Benedict zatrzymał się na chwilę, po czym kontynuował marsz w kierunku sklepu, jakby spacerował przez Clerkenwell Green. Może naprawdę był drzewem? Nic nie zbijało go z tropu.

Nie mogłem powiedzieć tego o sobie. Skręcało mnie w środku, gdy mistrz Benedict otwierał frontowe drzwi sklepu. Nad wejściem wisiał podniszczony dębowy szyldek kołyszący się na parze srebrnych łańcuchów.

BLACKTHORN

ULGA NA WSZELAKIE ZŁOŚLIWE HUMORY

Wryte w drewnie liście bluszczu, pokryte zieloną farbą, okalały jasnoczerwone litery. Poniżej był złoty róg jednorożca, symbol aptekarzy.

Mistrz Benedict wprowadził mnie do środka sklepu.

Wyciągałem szyję, patrząc na wypchane zwierzęta i różne osobliwości zapełniające półki. Ale dopiero warsztat sprawił, że stanąłem jak wryty. Na każdym calu stołu, ściśnięte na półkach i schowane pod rozklekotanymi stolkami, stały setki aptekarskich słoików, wypełnione liśćmi i proszkami, wodami i kremami. Dookoła nich były niezliczone narzędzia i przyrządy: formowane szkło, podgrzewane olejowymi palnikami; płyny bulgoczące nieznanymi zapachami, garnki i kotły, duże i małe, żelazne, miedziane i cynowe. Piec buchnął w kącie niemal parzącymi falami gorąca z rozdziawionej paszczy, szerokiej na dwanaście stóp i na cztery wysokiej. Tuziny eksperymentów gotowały się na trzech stojakach, w jednym końcu żarzyły się węgle, a w drugim tańczyły płomienie. Gładkie, czarne krągłości pieca, uformowane niczym spłaszczona cebula, łączyły się w kanał dymowy, z którego wychodziła rura pompująca spaliny przez tylną ścianę, by zmieszały się z odorem śmieci, odpadków i gnoju, unoszącym się ponad londyńskimi ulicami.

Stałem z otwartymi ustami, aż mistrz Benedict włożył mi w ręce żeliwny garnek.

–Zagotuj wodę – powiedział.

Następnie usadził mnie na stołku na końcu środkowego stołu roboczego, w pobliżu tylnych drzwi, które prowadziły do małej grządki z ziołami w alejce za domem. Przedem były trzy puste cynowe kubki i mały słoik wypełniony setkami maleńkich czarnych nasion o nerkowatym kształcie. Każde z nich było wielkości połowy biedronki.

–To dendera. Przyjrzyj się i powiedz, co odkryłeś.

Nerwowo wybrałem jedno z nasion i obracałem je w palcach. Pachniało jak zgniłe pomidory. Dotknąłem go koniuszkiem języka. Smak nie był lepszy niż zapach: gorzki i oleisty, z korzennym posmakiem. Zaszło mi w ustach.

Powiedziałem mistrzowi Benedictowi, czego doświadczyłem. Pokiwał głową.

–Dobrze. A teraz weź trzy nasiona, rozgnieć je i umieść w pierwszym kubku. W drugim umieść sześć, a dziesięć w ostatnim. Następnie zalej je wrzątkiem i zaparz.

Zrobiłem, jak mi kazał. Gdy napar naciągał, zapytał:

–Czy wiesz, czym jest astma?

–Tak, mistrzu – odpowiedziałem.

Kilkoro dzieci w sierocińcu ją miało. Pewnego lata, gdy powietrze było przesiąknięte dymem i smrodem, dwóch chłopców zmarło na nią jednego dnia, dusząc się, a mistrzowie stali bezradni, nie mogąc im pomóc.

–W małych dawkach - mówił mistrz Benedict - dendera skutecznie leczy astmę. - Podsunął mi pierwszy kubek.

Trzy nasiona wirowały na dnie w ciemniejącej wodzie. Cuchnęło. – To odpowiednia dawka dla człowieka o przeciętnej posturze.

Przysunął mi kolejny kubek.

–Ta dawka dendery spowoduje okropne halucynacje, istne żywe koszmary. Gdy to przeminie, ciało pacjenta będzie dręczone bólem przez kolejne dni.

Podał mi ostatni kubek.

–To cię zabije. Wypij to, a w pięć minut będziesz martwy.

Gapilem się na kubek. Właśnie przygotowałem truciznę.

Zszokowany, podniosłem wzrok na mistrza Benedicta i zauważyłem, że uważnie mi się przygląda.

–Powiedz mi – mówił – czego się właśnie nauczyłeś?

Otrząsnąłem się z zaskoczenia i starałem się coś wymyślić.

Oczywistą odpowiedzią były właściwości dendery i mikstury, które mogłem zrobić z nasion. Ale ze sposobu, w jaki mistrz Benedict na mnie patrzył, wnioskowałem, że czekał na coś więcej.

–To ja jestem odpowiedzialny – odpowiedziałem.

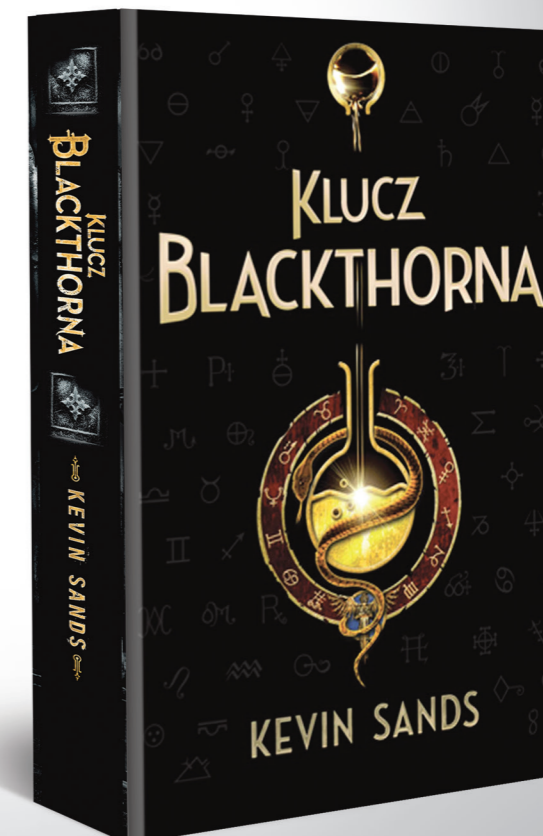
Brwi mistrza Benedicta strzeliły w górę.

–Tak - potwierdził, wyglądając na zadowolonego.

Wskazał na otaczające nas zioła, oleje i minerały. – Te składniki to dary Boga dla nas. To nasze narzędzia. Musisz zapamiętać, że to tylko narzędzia. Mogą uleczyć albo zabić. Narzędzie nigdy nie decyduje samo. To robią ręce i serce - tego, kto ich używa. Spośród wszystkich zasad, których cię nauczę, Christopherze, nie ma ważniejszej. Rozumiesz?

Skinąłem głową z podziwem – i ze strachem – z powodu zaufania, jakim mnie obdarzył.

WIĘCEJ TAJEMNIC ODKRYJESZ W KSIĄŻCE ▶



FOKSAL
GRUPA WYDAWNICZA

WILGA

f WydawnictwoWilga